ROZMAITOŚCI.

Dnia 16. listopada, Nr 46. roku 1844.

Piękna dziewczyna z Dronthajm.

Wraz z przepaską, wraz z zasłoną,
Piękne omamienia wioną!

Lil była najpiękniejszą dziewczyną w Dronthajm, i jedyną córką pana Hawness, znakomitego kupca w tém mieście. Chociaż nie bardzo posażna, widziała się przecież liczném gronem wielbicieli otoczoną. Bo téż była w istocie rzadkiéj urody; miała jasne włosy i duże niebieskie oczy, których wzrok melancholijny głęboko wnikał w serce. Postać jéj była kształtną, noga nadzwyczaj małą; podziwiano ją więc powszechnie, a czy młodzi czy starzy, wszyscy stawali gdy przechodziła, i spoglądali za nią z upodobaniem.

Pomiędzy jéj zalotnikami odznaczali się dwaj szczególnie: Woek i Maynal; obydwaj majętni kupcy. Te same prawie zalety mówiły za obudwoma; obaj byli młodzi, przystojni i obadwaj kochali, chociaż cale w przeciwny sposób. Piękna twarz Maynala miała nieco surowe rysy i głęboko przenikające spojrzenie. Jego fizyjonomija, gdy się ożywiła, przybierała wyraz rzadkiéj energii; ale przytém był nieśmiały jak każdy który prawdziwą miłość czuje. We wszystkich stosunkach życia okazywał się mężnym i dzielnym, lecz przy dziewczynie, którą kochał, nieumiał słowa znaleźć. Byłby dał życie za nią, jednak nie był w stanie jéj to powiedzieć.

Woek przeciwnie, był żywy, śmiały, porywczy; posiadał rzadką wymowę, która wszelkie jego uczucia w gładkie stroiła słowa; nawet swoje rażące wady umiał tak wystawić, iż się powabnémi zdawały; a to przychodziło mu tém łatwiéj, że odgrywał sumiennie rolę prawdziwie zakochanego i zanim zdołał omamić innych, omamił najprzód sam siebie.

Mając do wyboru pomiędzy tymi dwowa zalotnikami, wahała się Lil przez czas niejaki. Być może iż w głębi jéj serca odzywało się przywiązanie do Maynala, lecz nie byłto głos namiętności; ztémwszystkiém, mówił on jéj przecież o poświęceniu się téj kochającéj duszy, dawał jéj do poznania, iż tak w szczęściu jak i w nieszczęściu znajdzie w Maynalu wiernego przyjaciela, który gotów życie za nią położyć, a Lil słuchała przez chwilę tego głosu; naten czas spoczywał jéj wzrok na Maynalu z wyrazem dziecinnéj ciekawości, jakby się przekonać chciała, czy téż to wszystko prawda. Maynal mieszał się wtedy zazwyczaj; słowo miłości które miał wymówić, zamiérało mu na ustach; serce jego biło gwałtownie, on jednakże milczał. Zdziwiona więc i niechętna odwracała się Lil od niego; jéj spojrzenia szukały oczu Woeka, a teraz przyszła na nią kolej mieszać się na widok jego płomienistych spojrzeń; drząc z wewnętrznego wzruszenia, skłaniała się ku niemu, aby usłyszéć owe słowa miłości, które jéj młode, jeszcze swoich własnych uczuć nieświadome serce, w najskrytszéj głębi owładły.

Woeka więc Lil pokochała, Woeka wybrała. Maynal ustąpił z boleśnie rozdartém sercem, ale bez słowa skargi. Pan Hawness zezwolił na wybór swojéj córki która wkrótce narzeczoną Woeka ogłoszoną została. Radość kochanków udzieliła się zarówno ich rodzinom. Pan Hawness był dumnym z tego, iż wydaje córkę za dziedzica jednego z najzamożniejszych domów handlowych w mieście. Rodzice Woeka

cieszyli się ze związku, który najpiękniejszą i najskromniejszą dziewczynę całego Dronthajmu połączy z ich rodziną. Zgodzono się z łatwością na wszystko. Sam Woek nie wiedział o niczém co się wokoło niego działo. Z wlepionémi w swoją młodą narzeczonę oczyma, roskoszował w pogodnéj jasności jéj dziewiczego czoła, w miłym wdzięku jéj swobodnego uśmiéchu Spoglądał na nią, jak niegdy ów bożek Skamander spoglądał zapewne na dziewicę, którą mu lud w jego wilgotną jaskinię wysyłał, aby jego łaskę wyjednać. A Lil była piękniejszą niż wszystkie utwory wyobraźni poetów. Woek przejmował ją tak miłośném spojrzeniem, że młoda dziewczyna, niewiedząc nawet w swojéj niewinności powodu swego zmieszania się, żywym rumieńcem płonęła i odwracała oczy.

»Dobrze więc, niech się dzieje boża wola!« rzekł pan Hawness, podając rękę Woekowi, »za sześć miesięcy odbędzie się wasze wesele. Ale już od téj chwili mam cię za syna, jak i ty równie miéj mój dom za swój własny.«

»Za sześć miesięcy?« zawołał Woek z westchnieniem. »Jakżeto długo! Pocóż ta zwłoka?«

»Mój synu,« odparł starzec, »są to dawne zwyczaje, których my odmieniać nie powinni.« *)

»Dla czegoż nie? Jeźli są zupełnie niepotrzebne. Kocham Lilę z całego serca i mam jéj słowo; nacóż daremnie odwlékać nasze szczęście?«

»Zakochana niecierpliwość!« rzekł pan Hawness z uśmiéchem.

Po chwili zaś rzekł z powagą:

»Nie targajmy się na obyczaje ojców; przyjdzie się bowiem lękać, aby nowe nie zaprowadziły nas daléj, niżbyśmy sami chcieli! Jesteście po zaręczynach, zamieniliście już obrączki; od dziś wieczora będziesz mieszkał pod naszym dachem i żył wraz z nami. Po upływie wyznaczonego czasu pobierzecie się, będąc pewnymi obopólnéj wierności. Podaj mi rękę Woeku; odtąd twoja sława jest moją sławą.«

Woek nie odpowiadał; musiał przystać na wszystko; ale jego pałające spojrzenia spoczywały nieustannie na Lili i urzekały ją widocznie.

Minęły dwa miesięce, dwa miesięce pełne upajających roskoszy i tajemnic; lecz w końcu tego czasu twarz Lili pobladła nadzwyczajnie; jéj piękne oczy patrzyły ciągle w ziemię, a czasem były ocmione łzami; po całych godzinach siadywała zamknięta samotnie w swoim pokoju.

Ach, już zniknęło jéj szczęście; już nieraz czekała biédna daremnie na kochanka; już nieraz siedziała przez długie godziny nieruchoma, dosłuchając się z trwogą najmniejszego szelestu, któryby jéj przybycie jego oznajmił — ale on, nie przyszedł. Często nie mogąc już podołać męczarni zwątpienia i niepewności, otworzywszy drzwi, postąpiła kilka kroków na długim kurytarzu, u którego końca znajdowały się pokoje Woeka, i stała tam długo milcząca, słuchająca, ale ostatek wstydu i uczucie niewieściéj godności, wstrzymywały ją od kroku, któryby ją musiał poniżyć w oczach kochanka, i powróciła znowu do swego pokoiku, aby tam płakała, modliła się i — żałowała!

Ile razy Lila w obecności ojca zeszła się z Woekiem, wlepiała w niego trwożnie pytające spojrzenia, którym on zawsze unikać umiał, niechcąc nawet mówić z nią długo. Czasami przecież uczuwał żal swojego nielitośnego postępowania, i znów się do niéj zbliżał, prosił ją o przebaczenie, wymawiał się, iż niechciał nieostrożnością wzbudzać podejrzenia, i tym sposobem uniewinniał swoje zobojętnienie. Lil kochała zanadto szczérze, aby jéj nie można było zwieść z łatwością, wszak kochać, jestto wierzyć! Taka chwila powrotu była promieniem szczęścia w ciemnéj nocy cierpienia. Niestety, wkrótce zgasł i ten promień — wszystko już minęło! Woek nie pokazał się już nigdy o zwyczajnéj godzinie w jéj pokoiku. Gdy się do niego przybliżyła, spoziérał na nią z zimną obojętnością. Teraz uczuła srogą rzeczywistość

---

*) W Norwegii panuje zwyczaj iż narzeczony jeszcze przed ślubem zupełnie w domu swojego teścia mieszka, jakgdyby się już ożenił. Ma to swoje niebezpieczeństwa; a często z tego powodu musi być dzień ślubu przyspieszonym.

nieszczęścia swego. Pewnego wieczora, naczekawszy się długo, uzbroiła się w męztwo, wyszła na kurytarz i zbliżyła się do pokojów Woeka.

Drząca ręką ujęła za klamkę. Jeszcze przez krótką chwilę wahała się nieszczęśliwa. Lecz jakaś smutna myśl owładła ją przemożnie, gdyż uczuła się zmuszoną niezważać już więcej na przyzwoitość i skromność dziewiczą. Weszła do pokoju; Woeka tam nie było.

Jak piorunem rażona padła na krzesło, wołając: »Gdzież on się kryje?« Tak, blada jak trup, przesiedziała trzy okropne godziny. O świcie powrócił Woek.

»Tyś tu?« zawołał z niecierpliwością i zadziwieniem. »Jakżeś nieostrożna!«

»Przed dwoma miesiącami, Woeku,« — odrzekła Lil z żałością — »nie byłbyś mi powiedział: jakżeś nieostrożna!«

»Ależ, gdyby cię był kto zdybał; gdyby twój ojciec —«

»Ach. teraz dopiéro myślisz o moim ojcu!«

Poczém podniosła głowę i rzekła mocniejszym głosem: »Gdybym była zdybała mojego ojca, byłabym mu powiedziała: idę do mojego małżonka, któremu szczęście życia mojego jest powierzone; pójdź ojcze zemną, gdyż czas naszego połączenia musi być wcześniéj wyznaczony.«

»Co mówisz! Czy tak w istocie?« zapytał Woek ponuro.

»Tak jest — w istocie; ślub nasz musi się odbyć, albo jestem zgubioną! — Ty przecież nie zechcesz zwlekać, nieprawdaż?... Nigdy jeszcze w Dronthajmie nie opuścił narzeczony swéj narzeczonéj; wszakżeś mi sam to mówił, iż jestem twoją małżonką. Niebo wysłuchało naszéj przysięgi; przecież twoja nie była kłamstwem, nie prawdaż? O powiedz mi Woeku, że moje obawy są płonne, że ty mię jeszcze kochasz; powiedz mi to. lub zginę tu z boleści i wstydu u nóg twoich!«

»Dziecinnaś!« ozwał się Woek. »Jakież szalone myśli przychodzą ci do głowy? Niéma wątpienia, że cię kocham; ale zaczekaj jeszcze nim będziesz mówiła z ojcem; u starca jak on, miłość nie jest dostateczną wymówką.«

»Powiedziałam ci, że niepodobna czekać!« zawołała Lil w rozpaczy.

»Lecz zaczekaj jeszcze kilka dni przynajmniéj; sądzę, iż nie wiele wymagam — dni kilka tylko. — Czegoż płaczesz?« rzekł wreszcie z gniewem.

»Ach, ty mnie już nie kochasz!«

»Czyż nam jeszcze i teraz miłośnych zapewnień trzeba! Jużcśmy ich sobie dość nagadali. Słuchaj Lilo, pozwól mi kilka dni przynajmniéj, abym się przygotował. Czegoż się masz obawiać? Wszak ci mówiłem, że cię kocham jeszcze, więc się uspokój. Odwracasz się ode mnie i niémasz zaufania do twego męża? Czyż jeszcze wątpisz?«

»Nie — nie,« odpowiedziała Lil z dziwnym wyrazem twarzy — »już teraz nie wątpię.«

»Dobrze czynisz; lecz już dnieje; odejdź, odejdź; udaj się do twojego pokoju, mógłby się kto w domu przebudzić. Śmiało, moja Lili; śmiało! Wkrótce będziesz szczęśliwa.«

To mówiąc odprowadził ją do jéj pokoju. Lil spoglądała na niego osobliwszym wzrokiem; w téj chwili wydał on się jéj bardziéj nikczemuym aniżeli okrutnym. Gdy się starał ją uspokoić, widziała go tak dalece pomieszanym, iż lekki uśmiéch pogardy wystąpił na jéj usta. Odeszła powolnym krokiem, zamknęła się w swoim pokoju i padając na łóżko zawołała:

»O biédne serce moje, jakżeś srodze oszukaném zostało!«

Dopiéro około południa ujrzała swojego ojca. Zacny pan Hawness był bardzo zatrudniony i nie postrzegł zmiany w obliczu swojéj córki. Dano do stołu; Lil obaczyła iż tylko na dwie osób nakryto.

»Mój ojcze,« zapytała z trwogą wewnętrzną, »gdzież jest Woek?«

»Odjechał dziś rano do Alzenu;« odrzekł spokojnie starzec. »Czyż nie wiész o tém?«

»Odjechał!«

»Cóż ci jest, moje dziécię, zkądże ta trwoga?«

»Ach, ojcze, on nie powróci!«

»O nieba!« zawołał ojciec chwytając omdlałą córkę w swoje ramiona.

I tak téż było w istocie; mijały tygodnie i miesiące a narzeczony nie wracał. Zajęty nową miłością, zapomniał biédną, uwiedzioną dziewczynę.

Wkrótce rozeszła się wiadomość o podłości Woeka i nieszczęściu biédnéj Lili. Żałowano powszechnie tak córkę jak i ojca. Starcowi odjęła zgryzota wiele lat życia. »Ach!« mówił do jednego ze swych przyjaciół, »gdybym miał lat dwadzieścia, zginąłby z mojéj ręki. Dziś jednak niémam nikogo — nikogo, coby się zemścił za mnie!«

W kilka dni potém przyszedł jakiś młodzieniec do pana Hawness. Lila siedziała blada, posępna, obok swojego ojca. Nagle wstrzęsła się cała, gdyż poznała Maynala, którego sercem była wzgardziła. Maynal skłonił się i rzekł niezachwianym głosem do starca:

»Panie Hawness, przychodzę pana prosić o rękę twojéj córki.«

»Co mówisz?« zapytał starzec z drzeniem. »Alboż nie wiész?«

»Wiém« — rzekł Maynal — »że nikczemny człowiek nadużył gościnnéj opieki twojego domu i umknął; proszę cię tedy abyś mnie przyjął za syna.«

»Jesteś szlachetnym i spaniałym, panie Maynalu,« ozwała się Lil ze łzami, »lecz ja nie jestem już godną twojéj miłości.«

»Wiém, żeś go całém sercem kochała, a teraz nim gardzić musisz; ale przezto nie powinno twoje życie upływać w troskach i smutku. Zdaj na mnie staranie o twoje szczęście.«

Lila powstała z krzesła i podając rękę Maynalowi, przemówiła z głębokiém wzruszeniem:

»Ze wszystkiego, najwięcéj to mię boli, żem ciebie zapoznała. Mimo to jednak dziękuję ci za zaszczyt jakim chcesz mię ozdobić; nie wolno mi go przyjąć. Dopóki Wock żyje, jest każde małżeństwo niepodobieństwem dla mnie.«

»A gdyby nieżył?«

»Gdyby nieżył?« powtórzyła Lila z boleścią »On będzie dłużéj żył ode mnie.«

»Żegnam cię — wkrótce powrócę;« rzekł Maynal, ściskając ją za rękę.

O dwie mile od Dronthajmu, w kierunku pogórza Kjölen, wznosi się wysoka skała. Z téj skały upływa z przeraźliwym szumem rwiący potok, który sławny na całą okolicę wodospad tworzy. Źródło tego potoku znajduje się na wierzchu téj skały, a ujście jego jest naprzeciw miasta Dronthajmu w rzéce, która się Nid nazywa.

W kilka dni po obaczeniu się Lili z Maynalem przyszedł jakiś młody człowiek do téj skały. Jak się zdawało, chciał on wydostać się na jéj wiérzchołek, ale — jakby mu jakieś smutne myśli ciężyły, wstrząsał od czasu do czasu głową, z któréj długie czarne włosy na ramiona spadały, i dla rozweselenia śpiéwał sobie piosnkę narodową. Idąc tak naprzód, razem usłyszał czyjeś kroki za sobą i obejrzał się niespokojnie.

»Dzień dobry Wocku!« ozwał się nowoprzybyły. »Znowu tedy jesteś w Dronthajmie?«

»Dopiéro od dwóch dni przybyłem—« odrzekł Wock zmieszany.

»Kryjesz się więc przed ludźmi?« zapytał Maynal nie zwracając oka z Wocka. »Szukałem cię daremnie po kościołach, przechadzkach i na giełdzie...«

»I czegożbym się miał kryć?« odrzekł Wock coraz bardziéj zmieszany i zapłoniony.

»W samej rzeczy, niewiém, dla czego?« odrzekł Maynal z ironiją. Pójdźmy Wocku, mamy bardzo piękny spacer przed sobą; tam na górze otwiéra się spaniały widok; widać całe miasto, ulice, nawet szczególne domy, gdzie przedmioty naszéj miłości lub nienawiści mieszkają; pójdźmy!«

Wock nie śmiał opiérać się swemu dawnemu przyjacielowi; poszedł z nim, lecz z widoczną trwogą; w duchu gniewał się jednak sam na siebie iż tę drogę obrał do przechadzki. Przybywszy na wierzch skały, zatrzymał się Maynal i kładąc rękę na ramieniu swojego towarzysza, rzekł:

»Lubię nadzwyczaj, patrzyć się tak z góry na śpiące jeszcze miasto i mniemać sobie, jakobym tutaj czuwał nad osobami które są drogie mojemu sercu. Oto tam, widzisz dóm twego ojca; jestto wielki i ozdobny budynek. Twój ojciec był zawsze zacnym, prawym człowiekiem, żaden podły uczynek nie plamił jego czoła; lecz czemużto drzysz Wocku? Na lewo — dóm mego ojca; wszystko tam jeszcze we śnie; mój ojciec bowiem jestto już stary człowiek, za którego ja teraz mam pracować, a mnie dzisiaj do niczego ochota już nie bierze... W pośrodku, widać dóm inny, trzeci — tam mieszka nieszczęście! wstyd! hańba!«

»Maynalu!...«

»Powiédz mi, Wocku, na jaką karę zasłużył człowiek, który złamał najświętsze śluby, który został z tą myślą zięciem starego ojca, aby go wraz z córką do najsroższéj przywiódł rozpaczy? Powiédz sam, czy on nie wart aby go wszyscy ludzie przeklęli, a jeden z tych ludzi, wziął krwawą zemstę na nim?«

»Cóż przezto myślisz?« przemówił Wock z drzeniem.

»Zrozumiałeś mię, nikczemny; wiész teraz, iż Maynal został mścicielem Lili; dotrzyma on lepiéj przysięgi niż ty swojéj, a on zaprzysiągł, iż nie ujdziesz ztąd z życiem.«

»Chcesz mię więc zamordować?« krzyknął Wock w przestrachu.

»Nie, ale musisz walczyć ze mną. Oto są pistolety. Staniemy naprzeciw sobie na samym brzegu przepaści; damy razem ognia do siebie; który z nas polegnie, spadnie tam w tę przepaść, a fale Nidu pochłoną ofiarę i tajemnicę zemsty.«

»Maynalu!«

»Ani słowa. Wybierz sobie pistolet. Obadwa są nabite. Odstąpmy na piętnaście kroków. — Bierz!«

Wock położył rękę na czole, na które już zimny pot wystąpił. Lecz to wzruszenie trwało tylko przez chwilę. Porwał pistolet i stanął. Obaj rzucili przelotnym wzrokiem po sobie. W oczach Wocka pałały gniew i nienawiść. Maynal był

zupełnie spokojnym, w przekonaniu, iż pełni obowiązek, i za dobrą sprawę życie swoje poświęca.

»Pal!« wyrzekł Maynal.

Oba strzały błysnęły. Gdy już dym osiadł, stał Maynal jeszcze na swojém miejscu. Po Woeku nic nie zostało, tylko drobny ślad krwi czerwienił krawędź przepaści. Maynal przechylił się i spojrzał w prąd rzéki; tam zdało mu się jakby w jedném miejscu fale Nidu przybrały czerwoniawą barwę na chwilę.

Nazajutrz dowiedzieli się wszyscy o śmierci Woeka. Woda wyrzuciła ciało jego. Byłoto samobójstwo lub pojedynek, tak się wszyscy domyślali, gdyż w jednéj ręce trzymał jeszcze ujęty pistolet. Gwałtowną śmierć jego poczytali wszyscy za karę niebios, a wszystkie matki, domyślając się przyczyny, modliły się za zabójcę, chociaż nie wiedzieli kto był ten, co go zabił.

W kilka tygodni po tém zdarzeniu poszła piękna Lil za Maynala. Tą razą nie obchodzono żadnych zaręczyn, ani kazano zaręczonym czekać pół roku do wesela. —

Szybko ulatywały miesiące, aż wreszcie nadszedł dzień, w którym nieszczęśliwa kobiéta przyciskając nowonarodzonego syna do łona, zapomniała wszystkich doznanych cierpień. Lecz byłoto już ostatniém wysileniem natury, ostatnią radością matki! Zaczęła słabnąć widocznie — przycisnęła męża do serca a w jéj ostatnim pocałunku, zdała się cała jéj dusza ulatywać. Maynal stał tuż przy niéj; podała mu dziecko; on pocałował je w czoło, a cicha, gorąca łza stoczyła mu się po licu.

»Bądź zdrów!« rzekła z czułością, wpatrzona w oczy męża. »Bądź zdrów Maynalu. Zasłużyłeś na większe szczęście i na więcéj miłości, niż ci dać mogłam! Przyjm tę ostatnią wdzięczność; uczyniłeś mi śmierć moję spokojną i łagodną. Polecam ci mego syna. Zostawiam ci w nim połowę duszy mojéj. Niechaj ci będzie drogim jako pamiątka po mnie. A teraz, podaj mi rękę, mój drogi przyjacielu. Bądź zdrów! Żegnam cię — ! Żegnam!« To wymówiwszy skłoniła głowę na piersi Maynala — i przestała już żyć — i cierpieć; lecz boleść Maynala — trwała przez całe życie!

Przechadzka na wyspie Ceylon.

W opisie wyspy Ceylon przez kapitana Campbell, opowiada pewien żołniérz, imieniem Tomasz Jones, w następujący sposób swoję przechadzkę po téjże wyspie:

»Jednego razu, wieczorem, było niebo tak pogodne, powietrze tak miło orzéźwiające, żem się nie mógł oprzéć pokusie, przejść się samnasam drogą wiodącą ku Trinkomali. Zaledwiem uszedł sto kroków, postrzegłem na drzewie pięknego pawia i rzuciłem nań kamieniem; paw uleciał a ja pobiegłem za nim; dopiéro gdym to daremne polowanie zaniechał, ujrzałem z wielkim przestrachem, żem zmylił drogę. Wylazłem więc na drzewo, aby podług słońca rozpoznać, w którą mi stronę iść wypadało. Skorom się z-oryjentował, zlazłem pospiesznie z drzewa i zacząłem biédz w kierunku ku naszéj osadzie. Nie długo trwało, aż oto nagle stanął przede mną słoń olbrzymi, bijący się szérokiémi uszyma po głowie, i wymachujący na wszystkie boki swoją długą, niczém nie zatrudnioną trąbą. Nic pozostawało mi nic innego, jak tylko ustąpić z drogi tak przemożnemu panu, i bieg mój w bok skierować.

»Tymczasem noc zapadła; nie mogąc przed sobą widzićć daléj jak tylko na kilka kroków, zatrzymałem się na chwilę w niepewności co czynić daléj, i stałem jak do ziemi przykuty. Aż oto nagle zasłyszałem tuż koło siebie ciężkie stąpanie słonia, i nie myśląc już więcéj, niewiedząc wcale dokąd, począłem co sił uciekać. Ale czém daléj biegłem tém większa przejmowała mię trwoga i tém głębiéj w las się zbłąkałem. Nareszcie, osłabiony na siłach, wylazłem na drzewo, aby tam noc przepędzić. Usiadłem był właśnie pomiędzy dwoma konarami, gdy księżyc wzejszedł. Wkrótce ucichł zupełnie ów szelest, który mię takiego strachu nabawił, i zdało mi się jakobym w dali skały kurungalskie postrzegał. Zlazłem znowu na ziemię i puściłem się daléj w drogę. Jednak po niespełna godzinie, byłem powtórnie zmuszony uciec na drzewo. Tą razą wziąłem ku obronie ogromny kostur z sobą, na przypadek gdybym miał być przez niedźwiedzi opadniętym, których jak powiadano, miało być w tym lesie bez liku.

»Ta noc była dla mnie okropna, nie mająca końca! Nie śmiałem zmrużyć oka, gdyż widziałem kilka słoni i całe czeredy innych dzikich źwierząt przeciągające pode mną.

»W końcu, gdy już świtać zaczęło, zlazłem co prędzéj z drzewa i zwróciłem się ku skałom kurungalskim, które z drzewa widziałem, a do których, podług mojego wyrachowania, za kilka godzin dojść mogłem. Na moje nieszczęście skryły mi je przed oczyma wysokie krzaki boru, i zacząłem znowu błądzić. Prawie napół omdlały i już głodem zmorzony, usiadłem na pniu jakiegoś obumarłego drzewa, i pogrążyłem się w ponurych myślach, gdy oto nagle

ogromny wąż, mający, jakby okulary, czarną obwódkę wokoło szyi, spiął się groźnie przede mną: byłto ów straszny wąż zwany Cobra de Capello. Gwałtowne niebezpieczeństwo powróciło mi siły; uciekłem spiesznie co miałem duchu, lecz po drodze zdybywałem jeszcze wiele wężów wszelkiego rodzaju i koloru. Przeskakując stare pniaki, wzdrygałem się co chwila na tę myśl samę, że mogę kiedykolwiek jedno z tych strasznych zwierząt nadeptać.

»Ta nieszczęsna ucieczka zaprowadziła mię przecież na brzeg jakiejś rzéki, gdzie mogłem trawiące mię pragnienie ugasić. Pokrzepiwszy cokolwiek siły moje, postanowiłen iść daléj wzdłuż brzegu rzéki, pocieszając się nadzieją, iż tym sposobem wkrótce do jakiego zamieszkanego miejsca przybędę. Szedłem więc spokojnie w cieniu drzew ogromnych, gdy jakiś dziwny hałas powstał nade mną i zmusił mię w górę spojrzéć. Postrzegłem czeredę małp, które mię wyszydzały. Rzuciłem na nich kamieniem. a one w odwet zaczęły ciskać za mną pięknémi kokosowémi orzechami, które ja chciwie otwiérałem i jadłem z pożądliwością.

»Tymczasem jednak, za każdym dalszym krokiem, stawała się leśna pustynia coraz dziksza. Gdy się już zmierzchło, usadowiłem się znowu pomiędzy gałęziami wielkiego drzewa, nieśmiąc wszakże zamknąć i teraz oczu, gdyż się spaść na ziemię lękałem. Przytém przemokłem rosą aż do nitki i trząsłem się cały od zimna. Zresztą jakże było zleźć na dół, gdy pode mną widziałem nieustannie przechodzące słonie, które szły pić do rzéki, i słyszałem zewsząd ryk i wycie drapieżnych zwierząt.

»Nazajutrz rano byłem jeszcze bardziéj znużony i wszelka już odwaga mię odstąpiła; ztémwszystkiém szedłem wciąż naprzód, trzymając się prawego brzegu rzéki. Rosnąca ponad brzegiem gęstwina, zmuszała mię często brodzić wodą, która na szczęście była w téj porze roku dość płytka. Około południa uczułem się tak ztrudzonym, iż usiadłszy na wzgórzu zieloną murawą okrytém, mocno zasnąłem. Była może piąta godzina gdym się obudził i w dalszą puścił drogę. Nie więcéj jak na 40 kroków od miejsca, gdzie spoczywałem, postrzegłem świeże tropy tygrysa. Na ten widok zadrżałem z przestrachu i ukléknąwszy podziękowałem Bogu za jego najwyższą, tak widoczną opiekę.

»Niebawem jednak ozwał się głód na nowo, a cały mój zasób kokosowych orzechów, które z sobą dźwigałem, był już zpotrzebowany. To zniewoliło mię zrobić małe zboczenie w głąb lasu, gdzie znowu przydybałem małpy, które mi ze złości nowych narzucały orzechów. Podczas snu mego, sprawił mi był skwar słońca mocny ból głowy, i zacząłem się napadu febry lękać. Natarłem sobie skronie zimną wodą, zjadłem kilka orzechów, zaopatrzyłem się lianami i wylazłem na drzewo, do którego za pomocą lianów mocno się przywiązałem. Ale i ta noc, jak i poprzednia, była równie niespokojna: ryk dzikich zwierząt, obawa aby mnie niedźwiedzie na drzewie nie zwietrzyły, ostre powietrze nocne i mroźna rosa, nie dały mi ani na chwilę zasnąć.

»Złażąc nad rankiem z drzewa, byłem jak skostniały od zimna; ciepłe jednak promienie słońca ogrzały mię nanowo i nieczułem już bolu głowy. Roztłukłem pozostałe mi jeszcze orzechy, zjadłem kilka ziaren, a resztę schowałem starannie do kieszeni. Wracając nazad do rzéki, od któréj wczoraj wieczór nieco się oddaliłem, postrzegłem trzy słonie, dwa stare a jednego młodego, pasących się pod drzewami. Skoro mię młody ujrzał, pobiegł natychmiast do starych, jakgdyby im chciał donieść o méj bytności, a potém zwrócił się prosto ku mnie. Zacząłem uciekać, spodziewając się znaleźć gdzie drzewo, na które będę mógł się schronić; ale niestety, nie było żadnego drzewa po drodze, któregoby gałęzie zwisały tak nizko, iżbym ich mógł był dosięgnąć. Nagle utknąłem o coś, i padłem na ziemię. Mój nieprzyjaciel był tuż za mną. Przybiegłszy już do miejsca gdzie leżałem, cofnął się z przestrachem o kilka kroków, lecz potém zbliżył się znowu do mnie. Omacał mię swoją trąbą, owąchał naokoło, a wreszcie obrócił mną kilka razy na ziemi. Oczekiwałem co chwila, że znudzony nakoniec tą igraszką, stratuje mię na śmierć, a potém podrzuci jeszcze w górę. Widząc wszakże iż oba stare słonie niemiały wcale ochoty podzielać igraszki swojego synka lub swego młodego przyjaciela, i pasły się wciąż spokojnie, powziąłem śmiałe postanowienie: zerwałem się nagle na nogi i krzyknąłem co mi sił stało. Mój niebezpieczny towarzysz uciekł natychmiast ze strachu, lecz mruknął coś do starych, a teraz wszyscy trzéj ruszyli razem ku mnie, łamiąc i gruchocąc wszystkie krzaki i młode drzewka po drodze. Bojaźń dodała mi skrzydeł; uszedłem szczęśliwie przed niemi, i wróciłem znowu na miejsce, gdzie mi wczoraj wieczór małpy orzechów narzucały; poczém wylazłem na drzewo, aby wytchnąć cokolwiek. Zgubiwszy w ucieczce przed słoniami surdut wraz z zapasem orzechów, uzbiérałem sobie nowych owoców, które leżały wkoło na ziemi, i udałem się w dalszą drogę z mocném postanowieniem, nie opuszczać już więcéj przewo-

daiczących mi brzegów rzeki. Nad wieczór napotkałem z wielką radością drzewa dżambowe, które były przepysznémi dojrzałémi owocami okryte; jestto rodzaj czerwonych i białych jabłek, mających we środku ziarnka, które są podobne do kasztanów. Radbym był chętnie upiekł sobie kilka tych jabłek, ale zkądże było wziąć ognia! Dobrze jednak posilony, i wyborny zapas owoców z sobą unosząc, przyspieszyłem kroku, gdyż noc już nadchodziła....«

Kilka jeszcze dni upłynęło, zanim nasz dzielny Jones odszukał wreszcie drogę. Przez ten czas żywił się orzechami a nocował na drzewach. W końcu znalazł drzewo, na którém mógł nawet spać i ukryć się przed rosą. Mimo to jednak, trudy i niedostatek wyczerpały do tego stopnia jego zwątlone siły, iż dostał gorączki. Jednego poranku znalazł ubitą ścieżkę i wpółzwietrzałego już człowieka, który padł zapewne ofiarą podobnej nieostrożności. Jones zdjął suknie z trupa; lecz wyczerpane siły nie dozwoliły mu już iść daléj. Padł wpół martwy pod drzewem, na które daremnie wyleźć był usiłował. Tu przydybało go grono krajowców z Kadni. A że nie był wstanie utrzymać się na nogach, przeto zanieśli go ci dobrzy ludzie do Kurunagalla, gdzie miano najtroskliwsze staranie około niego. Kamraci jego szukali go byli od kilku dni po wszystkich stronach wyspy i mieli go już za zgubionego. Długo trwało, nim przyszedł do siebie. Lękano się zrazu aby nie dostał pomieszania; lecz staranne pielęgnowanie, uzdrowiło go wkrótce zupełnie na ciele i na duszy. —

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł nr. 40ty i obejmuje: 1) Jeszcze słowo o zadarnieniu piasków kostrzewą owczą *(festuca ovina)*. 2) Niektóre uwagi nad nawożeniem roli popiołem. 3) Przepis robienia sera parmazańskiego. 4) O żywych płotach i różnych użytków z krzewów na ten cel użytych. 5) O uregulowaniu handlu wołowego galicyjskiego (nadesłano z Wiédnia). 6) Raporta handlowe od 4. do 11. listopada r. b. Targ na woły. Cena zboża we Lwowie. Z Bocheńskiego. Z Tarnowskiego. Z Odessy. Z Gdańska. 7) Posada dla oficyjalisty.

Hrabina Morska na angielsko-zagranicznym klubie w Londynie. Każdy majętniejszy Anglik trawi większą część swego życia na klubie, do którego jest wpisanym, co zwykle dzieje się przez zalecenie którego z członków tego klubu i przez wkupienie roczną daniną, czasem bardzo znaczną. Tam znajdzie najprzyjemniejsze zabawy, biblijotekę, żurnale i gazety z całego świata, które dla Anglików najpotrzebniejszym są żywiołem. Dotąd nikt z obcych, to jest nie-Anglik, nie mógł być za członka któregokolwiek klubu wpisanym; ale w tym roku powstał nowy klub pod nazwiskiem *»Angielsko-zagraniczny Instytut«*, o którego otworzeniu tak się wyraża *Morning Herald* z d. 5. sierpnia r. b.: »Pierwsze posiedzenie angielsko-zagranicznego instytutu skończyło się dnia 1. b. m. na świetnym i licznym wieczorze. Z uderzeniem godziny 9téj napełniły się pokoje dla towarzystwa przeznaczone zgromadzeniem około 300 osób, dam i panów, członków i gości zaproszonych, wszyscy w wytwornych ubiorach. Widzieć tam mogłeś wielu zagranicznych panów, niektórzy w swoim narodowym ubiorze: szczególnie ściągnął na siebie uwagę młody Greczyn syryjski z Libanu, i bardzo piękny młodzieniec z Nowéj Zelandyi, którego piękna postać i malowniczy ubior bardzo zajęły towarzystwo. — Pomiędzy znakomitymi gośćmi instytutu, wymieniona jest także hrabina Morska, która obejrzawszy z wielką uwagą cały zakład, wyraziła się z pochwałą o planie i zamiarze tegoż instytutu, oświadczając chęć przyczynienia się z swéj strony. Hrabina w podeszłym już wieku, cieszy się jak najlepszém zdrowiem: zwidza ona teraz Angliję, mieszka w hotelu Miworta, ogląda codziénnie pałace, ogrody i galeryje królewskiéj familii, jakotéż najznakomitsze partykularne. Ma ona swoje dobra w państwie austryjackiem w Galicyi. Hrabina ofiarowała dla biblioteki instytutu jako pamiątkę swoich odwidzin i dowód swego zadowolenia z urządzenia tego zakładu — przepyszne dzieło w jednym tomie, z własnoręcznémi rysunkami swego mieszkania, ogrodu i budynków, z dodatkiem bukietów najpiękniejszych kwiatów z natury zdjętych i podług czasu kwitnienia następnie umieszczonych. Dołączyła do tego daru także krótką rozprawę, zawierającą myśli w ogólności o ozdobie i budownictwie wiejskiem. To dzieło było umieszczone na stole w sali zgromadzenia i bardzo pochwalane. — Prezes tego instytutu lord J. S. Buckingham, w liście pisanym do hrabiny Morskiej pod dniem 25. lipca 1844, wynurzył w wyrazach pełnych czci i uszanowania podziękowanie za darowane dzieło, i pochwałę onegoż; zarazem zaprosił tę hrabinę z jéj towarzyszami podróży na ostatni wieczór w téj porze roku, dodając, iż dar jéj jest wysoko cenionym i będzie pamiątką w rocznikach tego towarzystwa.« — Nie możemy tu pominąć, iż wiadomość tę umieściło także pismo wiédeńskie *»Wiener Zeitschrift fur Kunst, Literatur, Theater und Mode«*, jako udzieloną mu od jednego z celniejszych korespondentów z Londynu. W tém pismie znajdujemy powtórzenie tego, cośmy tu powiedzieli, z małémi wszakże odmianami, jeszcze większe pochwały dla hrabiny Morskiej niż artykuł gazety angielskiej zawierającémi. Pomieniony korespondent z Londynu dodaje, iż go jeden z Anglików pytał, czyli niemieckie damy są co do szlachetności charakteru do téj hrabiny podobnemi. Nie udzielamy tu całego tłumaczenia, bo pismo to w kraju naszym łatwo można czytać: zaszła w niém tylko mała pomyłka druku, przy wymienieniu lat hrabiny Morskiéj. Umysł téj damy jest zaiste pełen świéżości, serce jéj w młodości szlachetnych uczuć, i gdzie tylko nadarzy się sposobność coś korzystnego dla ogółu zdziałać, niesie pomoc cierpiącym lub potrzebnym, tam z ogniem młodości szlachetną wyciąga dłoń i niesie ratunek. Daj Boże, aby ta czcigodna pani, lata życia swojego, jeszcze raz od lat pomyłką wyrażonych, rachowała! *G.*

Książę Joinville i amnestyja. O właściwym powodzie do niespodzianéj amnestyi, jaką król Ludwik Filip przed niedawnym czasem ogłosił, opowiada kapitan Touchard, adjutant księcia Joinville, następujące bliższe szczegóły. Gdy książę Joinville przybył z Kadyxu do Paryża, udał się bez zwłoki do St. Cloud, gdzie król, który tak rzadko wzruszonym się okazuje, rzucił się w jego objęcia i przez długi czas go w milczeniu do swojéj, rodzicielską dumą bijącéj piersi przyciskał. Potém patrzył nań długo z niewymowną roskoszą i rzekł: *»Monsieur! Je suis très content de vous, très content de mon fils! — Joinville*;« dodał wreszcie z uśmiechem, *»Demandes ce que tu veux, je te l'accorderai.«* (Jestem zadowolony z ciebie, bardzo zadowolony z mojego syna! *Joinville*; żądaj co chcesz, zrobię wszystko dla ciebie.)« Z podziękowaniem odpowiedział

książę, iż ma istotnie jednę prośbę, którą dopiero jutro ojcu przedłoży; pragnie jednak aby mu nie była odmówioną. »*Tu as ma parole!* (Daję ci słowo!)« odrzekł król ściskając go za rękę. Nazajutrz rano, podczas gdy królewska rodzina przy śniadaniu bawiła, wszedł książę Joinville z papierem w ręku; pracował przez całą noc, ułożył rozporządzenie amnestyi z wszelkiemi potrzebnémi dodatkami, załączył spis wszystkich politycznych więźniów z wymienieniem powodów ułaskawiających, i podał to wszystko królowi, mówiąc: »*Voilà, sire! ma demande.* (Oto jest, królu, moja prośba!)« Król odczytał rozporządzenie, przeglądnął papiery, spojrzał z radością na syna i rzekł: »*C'est bien, mon fils, c'est bien, mais il faut que je parle avec mes ministres.* (Dobrze, dobrze, mój synu; lecz wprzód muszę mówić z ministrami.)« — Nato królowa, która od dawna jest matką wszystkich cierpiących i nieszczęśliwych, uścisnąwszy syna serdecznie za rękę, zwróciła się z tąż samą prośbą do męża, i wszystkie księżniczki otoczyły sędziwego króla: »*Pardonnez!*« (Przebacz!) błagano go jednogłośnie. Z trudnością ukrył Ludwik Filip wzruszenie, jakie go w téj chwili opanowało, i oświadczył, iż musi wprzódy naradzić się z ministrami, których w tym celu natychmiast do St. Cloud wezwano. Książę Joinville starał się mówić zaraz z każdym ministrem, i skłonić ich do przyjęcia swego projektu, poczém zaczęła się narada. Król odczytał ministrom całe wypracowanie księcia. Nastąpiły długie narady, których skutkiem było postanowienie, jaknajwiększéj liczbie osób dać ograniczoną amnestyję, która w dzienniku »*Moniteur*« ogłoszoną została. Książę Joinville napisał natychmiast usilny list do króla, przypominając mu dane słowo i prosząc go aby ten piękny czyn uzupełnił. Sądzą, iż po powrocie króla, gdy tymczasem wszystko się uspokoi, reszta politycznych więźniów podobnież ułaskawioną będzie. Joinville staje się z każdym dniem coraz bardziej lubionym u ludu, i może jeszcze w przyszłych dziejach Francyi znamienitą odegrać rolę.

Il principe moscovitico. Pewien podróżny powracający niedawno z Egiptu, opowiada, iż słyszał z zadziwieniem pomiędzy tamtejszym ludem wiele o podróży rossyjskiego cesarza po Egipcie. Długo niemógł sobie téj zagadki wytłumaczyć, aż wreszcie się przekonał, iż tym cesarzem rossyjskim niebył nikt inny jak książę Pückler-Muskau. Nazywano go powszechnie *il principe moscovitico*, a ponieważ Egipcyjanie w swoich geograficznych wiadomościach nie doszli jeszcze do małego miasteczka Muskau, tedy rozumieli iż widzą przed sobą cara Moskwy, zwłaszcza że książę z rossyjską dobitnością na wykonanie wszelkich podług swego fermanu przynależących mu praw i zaszczytów nastawał.

Wzór grzeczności. Podczas niedawnych odwidzin królowéj Wiktoryi w zamku Blair-Athol, okazał jego właściciel, lord Glenlyon, rzadki dowód grzeczności dla swego dostojnego gościa. W nocy bowiem, gdy królowa Wiktoryja już spoczywała, wybuchł pożar w zabudowaniach gospodarskich szlachetnego lorda, leżących o ćwierć mili od zamku. Łatwo było można przytłumić ogień zaraz po wybuchnieniu, lecz lord Glenlyon, jeden z owych panów, który jeszcze podania starożytnych gościnnych zwyczajów Szkocyi w zupełnéj nieskazitelności przechowuje, nie chciał żadną miarą dozwolić nato, aby pospieszając na pomoc, czyniono hałas w sąsiedztwie. Wolał widzieć jak część majątku spłonęła ogniem, niż choćby na krótką chwilę przerwać spoczynek swej monarchini. Co mu téż podziwienie całéj angielskiéj arystokracyi zjednało.

Pazie. Zpomiędzy wszystkich istniejących dotychczas instytucyj, nie sięga zapewne żadna tak odległéj starożytności, jak godność paziów. Podług Arriana i Aeliana miał król Filip macedoński być pierwszym, który szlachetną młodzież kraju do służby dworskiéj przeznaczył; Waleriusz zaś utrzymuje iż za panowania Alexandra wielkiego, syna króla Filipa, było w Macedonii od niepamiętnych czasów w zwyczaju, wybierać do posług dworskich młodzieńców z najznakomitszych rodzin, którzy podług Liwiusza zwali się *pueri regii*, o czém téż i Kurcyjusz w kilku miejscach wspomina, wywodząc ten macedoński zwyczaj od najdawniejszych narodów.

Przeciw gilotynie. Wydarzony niedawno w Francyi wypadek, iż winowajca przy traceniu, dwa razy był chybiony, obudził nanowo przeciwników gilotyny, i stał się powodem ogłoszenia kilku świeżych, na zwierzętach przedsiębranych doświadczeń, które dowodzą iż ścięcie głowy nie zabija natychmiast. Ojciec sławnego powieściopisarza Sue, czynił podobne doświadczenia na indykach i cielętach. Jeden indyk, wstał po odcięciu mu głowy, chodził jeszcze półtorę minuty, i przyłożył nawet nogę do szyi, jakgdyby się chciał podrapać. Bezgłowy tułow barana rzucał się jeszcze przez 12 minut tak silnie, iż ledwie trzech ludzi utrzymać go mogło. Odcięta głowa cielęcia ruszała jeszcze przez 6 minut pyskiem i oczyma. Podług innych doświadczeń może żółw żyć pół roku po ucięciu mu głowy. Podobnież i odcięta głowa gadziny kąsa jeszcze niekiedy. Chrząszcz łazi z oderwaną głową i maca boleśnie nogą przed sobą, aby nią zbadać miejsce, po którém ma leźć daléj. Serce sciętéj żaby bije jeszcze przez dwie godziny. Muchy i motyle mogą latać dwa dni bez głowy.

Śmiałe leczenie suchot płucowych. Z Darmstadt donoszą: »Obecnie zwracają tu chirurgiczne operacyje tutejszego lekarza, dra. Herff, uwagę całéj publiczności na siebie. Tenże wyleczył już kilka razy z najpomyślniejszym skutkiem, na drodze operacyjnéj, tak zwaną *phtisis tuberculosa*. Miejsce tuberkułów (wrzodów) płucowych poznaje on za pomocą stetoskopu, a ropę wypuszcza na zewnątrz przez otwarcie dołku piersiowego; samo leczenie dzieje się za pomocą wbryzganych w ranę lekarstw. Wstrzymywaliśmy się dotąd od wszelkich doniesień tych operacyj, gdyż chcieliśmy przeczekać, aż się jawne skutki okażą; teraz jednak możemy święcie zapewnić, iż w kilku wypadkach okazał się najpomyślniejszy skutek, a żadna z przedsięwziętych dotąd operacyj, które przytém nie grożą bynajmniéj niebezpieczeństwem życia, szkodliwych skutków nie miała. Oby pan Herff swoje postrzeżenia w tym względzie, jeszcze liczniejszemi doświadczeniami poparte, uczynił jak najprędzéj przedmiotem publicznych umiejętnych roztrząsań.«

Widok mężczyzny klęczącego przed kobiétą i proszącego ją o jéj rękę lub serce, a czasem i o oboje, przypomina nam naukę o przechodzeniu dusz ludzkich w ciała zwierzęce, gdyż nam myśléć wypada, iż w takim człowieku musi mieszkać dusza wielbląda, który zazwyczaj klęka gdy nań wielkie ciężary kładą.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.